Nr 15. Kraków, 11 Kwietnia 1891. Rok I.

«KRAKUS» wychodzi w każdy Piątek wieczorem.

Administracya w księgarni «Spółki wydawniczej polskiej.»

Redakcya ul. Szewska Nr. 15.

KRAKUS

Prenumerata wynosi:

w Krakowie

rocznie . . 2 złr. 60 c.
półrocznie 1 » 30 »
kwartalnie — 65 »

z przesyłką pocztową

rocznie . . 3 złr. — c.
półrocznie 1 » 50 »
kwartalnie — 75 «

pismo poświęcone sprawom politycznym i społecznym,

oraz nauce, rozrywce umysłowej i szerzeniu wiadomości pożytecznych.

O jedności i zgodzie społecznej i środkach do niej.

Odczyt na pierwszem rocznem posiedzeniu Kółka Rolniczego w Babicach pod Chrzanowem d. 2 Lutego 1891 r.

(Ciąg dalszy).

Wmawiają w nas wichrzyciele, że szlachta jest niepotrzebną, bo włościanie są fundamentem naszego społeczeństwa, a nie szlachta; bardzo dobrze! Jeżeli włościanie są fundamentem, w takim razie możniejsi i oświeceńsi, a więc i szlachta, są dachem przykrywającym ów gmach społeczny i chroniącym go od zniszczenia. Czy długo wytrwają mury bez dachu? Miejmy ciągle na pamięci przykłady z historyi, że gdy dach uległ zniszczeniu, fundamenty wnet się rozsypały. Na szczęście dach na naszym gmachu jest silny i cały: polska szlachta mocno się trzyma swej wiary i mowy przodków. Z jakiegoż więc powodu ciągłe napaści i obelgi spotykają naszą szlachtę w pismach wichrzycielskich? Oj wielka krzywda dzieje się naszej szlachcie obecnie! Polska szlachta nie zapierała się polskiej mowy, nie zmieniła wiary katolickiej dla przypodobania się wrogom; polska szlachta nie daje złego przykładu włościanom, nie pomaga Niemcom, ani Moskalom do wynarodowienia polskiego ludu: owszem, przeszkadza temu z całych sił.

Czegóż więc chcą od niej wichrzyciele? — Szczególna rzecz! Wichrzyciele lwowscy, co to ciągle ludowi prawią, że go tak serdecznie kochają, jakby tego szlachta nawet nie potrafiła, choćby chciała, dziwnie w jednaki sposób z Moskalami i Prusakami nie cierpią polskiej szlachty. W przewrotnem postępowaniu swojem używają jednakich środków, aby dopiąć swojego celu dla nas już widocznego. Jedni i drudzy starają się poktócić, poróżnić, podburzyć, pogniewać jeden stan przeciw drugiemu, rozerwać bratnie dłonie, między ludem a innymi stanami wystawić gruby mur, aby łatwiej społeczeństwo nasze uległo rozkładowi. Wichrzyciele tacy, co chodzą jedną drogą z odwiecznym nieprzyjacielem Polski, — to już nie przyjaciele ludu; to już są faryzeusze, pobielane groby, pełne zgnilizny i nienawiści nietylko przeciw szlachcie, ale przeciwko wszystkim stanom, przeciw całemu porządkowi polskiego społeczeństwa. Jeśli owi fałszywi przyjaciele ludu tak bardzo Polskę kochają, jak to w swych pismach ludowi przedstawiają, dlaczegóż podburzają lud przeciwko szlachcie, tak samo jak Moskale? Ot co jest. Po owocach ich poznacie wilków w owczej skórze, powiedział Pan Jezus. A zresztą czyż oni już nas włościan tak bardzo kochają bezinteresownie, jak to drukują grubemi literami raz wraz do sprzykrzenia? Jest to nie bez kozery, bo kto nieproszony zanadto się wmawia ze swą przyjaźnią, taki pewniutko ma w tem swój a nie nasz interes na myśli.

Było dwóch braci spokojnie żyjących na jednej ojcowiźnie. Aż tu przychodzi naraz jakiś nieznany człowiek do młodszego brata i mianuje się ni ztąd ni zowąd jego najlepszym przyjacielem. „Jeśli mię chętnie posłuchasz, dam ci dobrą radę i dopomogę do odzyskania twych praw przynależnych a przez starszego brata wydartych nieprawnie; ja wiem dobrze, możesz mi wierzyć na mój honor, że starszy brat skrzywdził cię przy ojcowiźnie.“ W te słowa ofiarował się z przyjaźnią nieznajomy ów człowiek młodszemu bratu, w którego chciał koniecznie wmówić, że go starszy brat oszukuje na swą korzyść. Nie chciał on wprawdzie z początku wierzyć przybłędzie z pod ciemnej gwiazdy, ale jak ten nieproszony przyjaciel zaczął się przysięgać na swój honor i sumitować na swoje sumienie, tak wreszcie uwierzył w nierzetelność starszego brata i pozwał go przed sąd. Sądzą się tedy bracia, — a przyjaciel i doradca serdeczny śmieje się, że rodzeni bracia wodzą się za łby. Długo się procesowali obydwaj, bo młodszy nie chciał ustąpić starszemu, podburzany ciągle od swego przyjaciela do prowadzenia procesu. Nareszcie byli zmuszeni sprzedać swe części na zapłacenie kosztów procesu. Ojcowizna ich dostatnia przeszła w ręce obcego człowieka, który umyślnie nasłał owego doradcę młodszemu bratu, aby go namówił do procesu, a potem od oby-

dwóch braci tanim kosztem nabył upragnioną oddawna posiadłość. Nieszczęśliwy ten brat, co uwierzył fałszywemu przyjacielowi i nie spostrzegł podstępu kuszącego węża; nieszczęśliwy starszy brat, że miał tak głupiego brata młodszego, który dał się namówić na proces bez żadnego powodu.

Serce się kraje na myśl o takich nieszczęśliwych, co lgną jak muchy na lep słodkich słówek fałszywych doradców. Wszak owi nieszczęśliwi nie domyślają się nawet, że za plecami takich doradców stoi ktoś inny, który przez owych najętych wichrzycieli-przyjacieli wznieca umyślnie niezgodę między współbraćmi, aby sam mógł skorzystać na tej niezgodzie, bo gdzie się dwóch kłóci, tam korzysta trzeci. Boże! Boże! udziel światła zbałamuconym, bo nie wiedzą i nie widzą, dokąd ich prowadzą fałszywi przyjaciele! A wy panowie-wichrzyciele, przestańcie, bo się źle bawicie! Może jeszcze umiecie w inszy sposób zarobić sobie na uczciwy kawałek chleba. Służyć zaś wrogowi jest wstydem i hańbą!

Co się tyczy naszej wioski, muszę oddać jej tę sprawiedliwość, że zdala trzyma się jeszcze dotąd od wszelkiej niechęci stanowej, pomimo licznych pokus zkądinąd do nas przychodzących. Mam też pewną nadzieję, że ziarno niezgody nigdy się nie przyjmie w sercach Szanownych Członków Kółka Babickiego, bo oto członkowie tegoż Kółka jawnie zadokumentowali już wspólność swą i solidarność uczuć patryotycznych z wszystkimi stanami podczas pogrzebu Adama Mickiewicza, na którą to uroczystość narodową członkowie Kółka Babickiego wysłali wieniec w imieniu całej parafii; a nadto osobna reprezentacya Kółka rolniczego, złożona z kilku tutejszych gospodarzy udała się na pogrzeb największego wieszcza polskiego, który tak kochał lud polski, iż za największe uważał dla siebie szczęście, gdyby jego pisma zawitały kiedyś pod strzechy wieśniacze. Pragnienie to gorące zaczyna się spełniać przy współdziałaniu Kółek rolniczych, które starają się zasady Mickiewicza, tchnące prawdziwą miłością ku wszystkim synom wspólnej matki-ojczyzny, głęboko zaszczepić w serca swych członków. I nam znany był „Pan Tadeusz,“ — dlatego nie dla próżnej dziecinnej ciekawości pojechaliśmy do Krakowa, ale dla pokazania polskiemu społeczeństwu, że razem z niem czujemy cześć dla narodowego wieszcza i prawdziwego przyjaciela ludu; że czujemy się cząstką społeczeństwa polskiego, którego jesteśmy ogniwem spajającem wszystkie stany w jedną solidarną całość. Pojechaliśmy ze świadomością potrzeby uczczenia naszego ducha opiekuńczego, jakim był i będzie Adam Mickiewicz po wszystkie czasy przez swoje pisma prorocze, jakby z nieba natchnione, w których przepowiada zmartwychwstanie ojczyzny w chwili, gdy wszyscy miłować się będziemy wzajemnie i wspomagać solidarnie. Tam u trumny jego widzieliśmy zebrane wszystkie stany polskiego społeczeństwa, — i podobała się nam taka solidarność zjednoczona i skierowana ku uczczeniu jednego z najlepszych synów przemocą rozdartej ojczyzny. Cieszył się duch Mickiewicza na widok zebranych dziatek wspólnej naszej Matki Polski; bo też rozczulający zaprawdę był widok wieśniaków w siermiędze tą samą myślą przejętych, co i panowie w najkosztowniejszych szatach. Wielką była w tej chwili Polska! Srebrnym głosem dzwonił radośnie Zygmunt stary, poruszając do głębi nasze serca i łzę w oku...

DZIEDZICTWO PRACY.

(Ciąg dalszy).

Musimy się teraz o kilka lat naprzód w naszej powieści posunąć. Dawny szesnastoletni Jaś jest dziś już dorosłym mężczyzną o czarnych wąsikach i męzkiej postaci. Zosia wyrosła na czerstwą, ładną dziewczynę, a że w całej okolicy wiedzą, że jest najlepszą dla matki córką, przywiązaną do rodzeństwa siostrą, i pracowitą, skromną, oszczędną gosposią, nieraz już zjeżdżały do Krasnego swaty, lecz ich z niczem odprawiono.

„A gdzieżbym ja matkę opuszczała!“ — mawiała wszystkim Zosia.

Ignaś, po ukończeniu wiejskiej szkoły, chodził codziennie na parę godzin do księdza proboszcza, u którego się tyle poduczył, że gdy synek państwa Bogo[illegible] nieco podrósł, zamówiono sobie Ignasia, żeby mu pierwszych udzielał nauk. Pani Jakóbowa codziennie Bogu w gorącej modlitwie dziękowała, że ukochane dziatki na Jego chwałę a pożytek ludzki wzrosły i widziała w tem wstawienie się u Boga zmarłego męża, z niebios nad niemi wszystkiemi czuwającego.

Gospodarstwo w Krasnem w świetnym było stanie; drób, masło, ser i różnego rodzaju specyały Zosinego wyrobu, rozgłos miały na całą okolicę. Widocznie błogosławieństwo Boże spoczywało nad tym domem, w którym pobożność, wzajemne przywiązanie i bezustanna praca stale zamieszkiwały.

A mała cyganka sierota, co się z nią dzieje? To się dzieje, że miła, dziś już dziewięcio-letnia dziecina, tak sobie wszystkie serca zjednać umiała, że nikt już w Krasnem nie pamiętał o tem, że ona urodzeniem do rodziny nie należy. Marylka, tak ją bowiem nazwano, zaś sama ani się domyślała, że pani Jakóbowa nie jest matką, a tejże dzieci, Marylki rodzeństwem.

„Bóg wam na dzieciach wynagradza, coście dla biednej sieroty zrobili,“ mówił nieraz ksiądz proboszcz do pani Jakóbowej; na co ona odpowiadała:

„Marylka mi się sama stokrotnie już wywdzię-

Jeszcze Polska nie zginęła! — Nie zginęła i nie zginie, jak długo duch Mickiewicza żyć będzie w sercach wszystkich Polaków. Dlaczegóż to uczcił wszystek naród polski prochy Adama; dlaczegóż sprowadził zwłoki jego z dalekich krajów i sprawił mu taki wspaniały pogrzeb i na Wawelu z królami umieścił? Oto dlatego, że do ostatniego tchnienia swego życia gorąco kochał swoją wiarę i ojczyznę; kochał serdecznie zarówno wielkich jak i maluczkich, bogatych i biednych: we wszystkich widząc tylko Polaków. Miły mu był jednako dwór szlachecki, jak i skromna chata wieśniacza. Szczególniej też upatrywał szczęście i zbawienie ojczyzny w solidarnej zgodzie szlachty z kmiotkami. W największym, najpiękniejszym i na cały świat sławnym jego poemacie „Pan Tadeusz“ — jakby nić złota ciągnie się przez cały utwór jedna myśl może najgłówniejsza, przedstawiająca serdeczny stosunek dworu Soplicowskiego z włościanami, którzy w Panu Sędzim nie widzą pana, ale ojca najlepszego. Nie mógł też nasz wieszcz ukochany piękniej ukończyć narodowego poematu jak wezwaniem wszystkich stanów do wzajemnej miłości staropolskiem: „Kochajmy się!“ Taki napis, jak wam wiadomo, ma ostatnia pieśń poematu, opisująca w przedziwnie rzewny sposób ważny wypadek we dworze pana Sędziego, mianowicie publiczne ogłoszenie usamowolnienia włościan przez nowych dziedziców, Tadeusza i Zosię, na pamiątkę uwolnienia Litwy od Moskali przez wojska napoleońskie i polskie w r. 1812. Gdyby Mickiewicz nic więcej nie napisał nad tę jedną pieśń: „Kochajmy się!“ — jużby był zasłużył na nazwę prawdziwego przyjaciela stanu włościańskiego.

Ustępy z tej pieśni, które chciałbym Sz. Członkom przytoczyć, powinny być złotemi literami drukowane i w czytelniach ludowych na honorowem miejscu uwidocznione. Posłuchajmy, czy w ten sposób przemawiają do nas samozwańcy przyjaciele lwowscy! Niestety! przepaść nieprzebyta istnieje między nimi a Mickiewiczem. Mickiewicz nie podburzał w swych pismach na panów, bo Mickiewicz widział szczęście ludu nie w oderwaniu się od szlachty, ale w złączeniu się z nią najściślejszem; nie kochał części narodu, ale kochał wszystkie miliony swych braci. Mickiewicz, oto jest nasz przyjaciel, — przyjaciel ludu; Mickiewicz, oto nasza prawdziwa pszczółka, co raczy lud miodem, a nie osłodzoną trucizną. Z pism Mickiewicza wieje jakaś rozkoszna, balsamiczna woń, która orzeźwia i pokrzepia naszego ducha; czytając jego pisma, nie chciałoby się nigdy myśli oderwać od tego lepszego świata, do którego nas Mickiewicz wprowadza.

...Pan Sędzia, skłoniwszy się, opuścił biesiadę.
On na dziedzińcu włościan traktował gromadę;
Zebrawszy ich za stołem na dwa staje długim,
Sam siadł na jednym końcu, a Pleban na drugim;
Tadeusz i Zofia do stołu nie siedli:
Zajęci częstowaniem włościan, — chodząc jedli.
Starożytny to zwyczaj, iż dziedzice nowi
Na pierwszej uczcie sami służyli ludowi...
...Tam włość już kończy ucztę: krążą miodu dzbany
Muzyka już się stroi i wzywa na tany.
Szukają Tadeusza, który stał na stronie
I coś pilnego szeptał swojej przyszłej żonie.
„Zofio! muszę ciebie w bardzo ważnej rzeczy
Radzić się; już pytałem stryja, on nie przeczy,

czyła; dobre to, serdeczne a dziwnie roztropne dziecko; dziś ma dopiero lat dziewięć, a już na rok przyszły ukończy nauki tutejszej szkoły. Nauczyciel mnie namawia, abym ją gdzie do miasta na pensyę oddała, aby tyle wrodzonych zdatności zmarnowanych nie było, ale ja wolę zachować ją przy sobie, jak z niej zrobić jaką pannę, którąby się z czasem nas wszystkich może wstydziła.“

„Wielką macie słuszność, moja pani Jakóbowa, stokroć ja wolę taką zacną, zdrową, Bogu i ludziom miłą dziewczynę, jak nią jest wasza Zosia naprzykład, niż te mądre panny, co to z pensyi powróciwszy, rodziców i dom rodzicielski mają sobie za nic, bo im się zdaje, że same całą mądrość Salomonową posiadają.“

Marylka na żadną więc pensyę nie poszła, ale natomiast przy Zosi uczyła się gospodarstwa kobiecego i szycia, a z Ignasiem czytywała różne książki, bo miała do nich wrodzone zamiłowanie, w czem jej pani Jakóbowa nie przeszkadzała.

Dnia jednego, było to w maju, Zosia zajęta była w ogrodzie warzywnym, gdy ujrzała zbliżającego się do niej jakiegoś nieznajomego pana, który grzecznie się skłoniwszy, zapytał, czyby pozwoliła jego żonie w tym ładnym ogródku spocząć, bo im oś od powozu pękła i i dalej w drogę jechać nie mogą.

„I owszem, proszę pana, uprzejmie odrzekła Zosia, i w ogrodzie i w domu, gdzie tylko pańska żona spocząć zechce.“

„Stokrotnie panience dziękuję, zawołał obcy pan, zaraz moją żonę przyprowadzę.“

Po chwili wrócił, trzymając pod rękę ładną, młodą jeszcze, ale bardzo bladą i mizerną kobietę. W pierwszym momencie pomyślała Zosia, że jej się coś stało, tak była jakoś cała drżąca. Zaprowadziła ją więc czemprędzej do wygodnej ławki z oparciem, przyniosła jej podnóżek i skoczyła do domu po poduszkę.

„Jak pani trochę wypocznie, to może pójdziemy do domu.“

Ładna pani, rozczulona troskliwością Zosi, nie wiedziała jak jej podziękować; mąż tymczasem, dowie-

Wiész, iż znaczna część wiosek, które mam posiadać,
Wedle prawa na ciebie powinnaby spadać.
Ci chłopi są nie moi, lecz twoi poddani;
Nie śmiałbym ich urządzić bez woli ich pani.
Teraz, kiedy już mamy Ojczyznę kochaną,
Czyliż wieśniacy zyszczą z tą szczęśliwą zmianą
Tyle tylko, że pana innego dostaną?
Prawda, że byli dotąd rządzeni łaskawie,
Lecz po mej śmierci, Bóg wié komu ich zostawię.
Jestem żołnierz, jesteśmy śmiertelni oboje,
Jestem człowiek, sam własnych kaprysów się boję:
Bezpieczniej zrobię, kiedy władzy się wyrzekę,
I oddam los włościanów pod prawa opiekę.
Sami wolni, uczyńmy i włościan wolnymi,
Oddajmy im w dziedzictwo posiadanie ziemi,
Na której się zrodzili, którą krwawą pracą
Zdobyli, z której wszystkich żywią i bogacą..
Lecz muszę ciebie ostrzedz, że tych ziem nadanie
Zmniejszy nasz dochód, w miernym musimy żyć stanie.
Ja przywykłem do życia oszczędnego z młodu;
Lecz ty Zofio, jesteś z wysokiego rodu,
W stolicy przepędziłaś twoje młode lata:
Czyż zgodzisz się żyć na wsi, zdaleka od świata
Jak ziemianka?..“

A na to rzekła Zosia skromnie:
„Jestem kobietą, rządy nie należą do mnie.
Wszakże pan będziesz mężem: ja do rady młoda,
Co pan urządzisz, na to całem sercem zgoda!
Jeśli włość uwalniając, zostaniesz uboższy,
To, Tadeuszu, będziesz memu sercu droższy.“
Gdy Zosia domawiała ostatnie wyrazy,
Podszedł ku niej zdziwiony i kwaśny Gerwazy:
„Pani moja, Zofia, na wszystko się zgadza;
Jej rozkazać, mnie słuchać: jużci przy niej władza.
Tylko ostrzegam, byśmy wolności nie dali
Pustej i słownej tylko, jako za Moskali,
Kiedy pan Karp nieboszczyk włościan wyswobodził,
A moskal ich podatkiem potrójnym ogłodził...“
...Już z rozkazu Sędziego, Pleban stał na stole
I ogłaszał włościanom Tadeusza wolę.
Zaledwie usłyszeli nowinę poddani,
Skoczyli do panicza, padli do nóg pani:
„Zdrowie Państwu naszemu!“ ze łzami krzyknęli;
Tadeusz krzyknął: „Zdrowie współobywateli,
Wolnych, równych Polaków!“ „Wnoszę ludu zdrowie“
Rzekł Dąbrowski; lud krzyknął: „Niech żyją Wodzowie,
Wiwat wojsko — wiwat lud — wiwat wszystkie stany!..“
Tysiącem głosów, zdrowia grzmiały na przemiany...

Tak pisze Mickiewicz. Tylko prawdziwy przyjaciel ludu mógł w tak serdeczny sposób opisać radosną chwilę zbratania się włościan ze dworem. Cieszyli się włościanie z wolności, cieszył się i dwór z uczynku obywatelskiego. Otóż polska szlachta dawno już myślała o tem, ażeby darować pańszczyznę, ale rząd moskiewski na to nie pozwalał. Zresztą stan włościański nie był nigdy w tak ciężkiej niewoli w Polsce. W innych to krajach cierpieli włościanie od swej szlachty niesłychane męki, że aż serce truchleje.

(Dok. nast.)

---

dziawszy się, gdzie najbliżej znajduje się kowal, pospieszył do niego, by mu powierzyć reparacyę powozu.

Nadeszła wkrótce i pani Jakóbowa, z całą staropolską gościnnością nieznajomą przywitała, do Zosi zaś rzekła:

„Skocz no do domu, Zosieczku, i nastaw samowar; w kuchni się jeszcze pali i herbata wnet będzie gotowa. Albo może pani woli napić się świeżego mleka?

„Ślicznie pani dziękuję; herbaty napiję się chętnie, lecz nie chciałabym być powodem kłopotu.“

„Żaden to nie jest kłopot; zresztą, przysłowie mówi: „Gość w dom, Bóg w dom“. Ale cóż się to państwu stało?...

„Jedziemy kuryerskiemi końmi, bo memu mężowi pilno wracać do interesów; zdaje mi się, że pocztylion był pijany, bo nigdzie wywrotnej drogi tu niema, dość, że uderzył całą siłą o kamień milowy i oś od koła pękła odrazu. Już z miejsca ruszyć nie było można. Ujrzeliśmy wtedy ten ładny ogródek, a w nim tak uprzejmą ogrodniczkę i przyszliśmy o chwilową poprosić gościnność, która nam prawdziwie po chrześciańsku użyczoną została“.

„Czy pani woli tu w altance napić się herbaty, czy też pójdziemy do domu?“ zapytała pani Jakóbowa.

„Jabym tu chętnie została“, odrzekła ładna pani.

Właśnie też ukazała się Zosia ze stoliczkiem w ręku; postawiła go przed nieznajomą, nakryła jak śnieg białym obrusem, potem czemprędzej pobiegła po herbatę i przyniosła ją na tacy, wraz z wyśmienitą śmietanką, żółciutkiem masłem i świeżemi bułeczkami. Wszystko to razem tak było starannie przygotowane i smaczne, że aż miło było patrzeć i na podwieczorek i na tę rumianą, wesołą dziewczynę, w wielkopolskiej kapce i czerwonym gorseciku, zgrabnie i chętnie około stolika uwijającą się. Patrzała na nią obca pani z życzliwem zajęciem, potem rzekła do pani Jakóbowej:

„Winszuję pani takiej córki! czy jedynaczka?

„O nie! mam jeszcze dwóch synów i...

„I najmłodszą córeczkę,“ dodała wesoło Zosia, istne cacko, muszę ją pani przedstawić. Po odejściu

ZIEMIE I GRODY POLSKIE.

II.

Gniezno.

Pierwszym naszym męczennikiem i głównym korony polskiej opiekunem i patronem, to Wojciech święty, którego uczczone kości spoczywają w gnieźnieńskiej katedrze. Corocznie tam na dniu 23 kwietnia liczne pielgrzymów tłumy cisną się do grobu świętego biskupa, a komu trudno w daleką puścić się drogę, ten rad będzie przynajmniej z opisu poznać to sławne i święte dla nas miejsce, prawdziwe *gniazdo* historyi polskiej, zkąd biały orzeł wyleciał na świat, aby stać się odtąd godłem i herbem wielkiego narodu.

Tu bowiem, jak wieść niesie, pierwsza stolica Polski się znajdować miała. Równiny wielkopolskie, dziś bujnem porosłe zbożem, wówczas zalegał bór gęsty i ciemny, nieprzejrzane lasy i knieje. W dalekiej ztąd słowiańskiej krainie, trzech braci postanowiło niegdyś szukać szczęścia i chleba po świecie. Nazywali się oni Lech, Czech i Rus. Rozeszli się w różne strony, a każdy z nich osobne założył państwo i nad inną ziemią królował. Lech udał się najdalej ku północy, aż stanął wśród gęstej puszczy, gdzie dotąd żadna ludzka nie dotarła stopa. Tam żołnierze jego znaleźli gniazdo orląt, w czem wódz upatrzył szczęśliwą wróżbę i znak, że na tem miejscu osiąść i *rozgnieździć* mu się trzeba. Wyciąwszy tedy część lasu nad jeziorem, założył miasto *Gniazdo* czyli *Gniezno*, a białe orle dał za godło swym poddanym. Miasto królewskie rosło szybko w znaczenie i potęgę, aż Lech zatęsknił za braćmi, których pożegnał był za młodu, i postanowił zejść się z nimi nad brzegiem rzeki Warty, o sześć mil od własnej stolicy. Tam Lech, Czech i Rus spotkali się i poznali na nowo, po długich latach rozłączenia, a na pamiątkę owego braterskiego spotkania i poznania założyli miasto nazwane *Poznaniem*. Później źli ludzie nieraz chcieli zamącić rodzinne uczucia i stosunki między pokoleniem Lechowem czyli Polakami a Czechami i Rusinami. Nam wszakże przypominać zawsze się godzi, iż od rodzonych pochodzimy braci, i ztąd sprzyjać sobie wzajemnie i pomagać mamy, przez pamięć na wspólne początki i pokrewieństwo.

Różne koleje przechodziła Lechowa stolica, dziś licha wielkopolska mieścina, nie licząca ani dziesięciu tysięcy mieszkańców. Tutaj król Mieczysław I, przyjąwszy chrzest święty i wiarę chrześciańską, wzniósł na miejscu świątyni pogańskiej pierwszy kościół zbudowany w Polsce ku czci prawdziwego Boga, i założył stolicę Arcybiskupią nad inne przedniejszą i sławną. Arcybiskupi gnieźnieńscy nosili bowiem tytuł prymasów czyli pierwszych biskupów Polski. Ile razy król polski umierał, tylekroć arcybiskup gnieźnieński obejmował na czas bezkrólewia najwyższą władzę, zastępował monarchę, zwoływał naród do wybrania sobie nowego pana, i ztąd nosił miano *interrexa* (między-króla), jako że miejsce króla zajmował, dopóki sobie Polacy nowego nie obrali. Arcybiskupów gnieźnieńskich było z kolei za polskich czasów od r. 970 do rozbioru naszej nieszczęśliwej ojczyzny siedmdziesięciu dwóch. Pierwszym był Francuz Willibald, ostatni przed rozbiorem kraju był ks. Michał Poniatowski, brat króla Stanisława Augusta. Odtąd doliczyć się możemy w ciągu bieżącego stulecia ośmiu

---

Zosi, zmiarkowała pani Jakóbowa, że piękne oczy nieznajomej napełniały się łzami.

„Biedna kobieta! pomyślała sobie w duszy, albo dzieci niema, albo je straciła. Może lepiej będzie nie pokazywać jej Marylki, to tylko odnowi ranę w jej sercu.“

Lecz już było za późno, już biegła ku altance, jak jaki duży motyl, rozpromieniona postać dzieweczki.

Na widok Marylki, obca pani mimowolnie chwyciła się za serce i tak zbladła, że się pani Jakóbowa aż przeraziła.

„Może pani tu chłodno? może lepiej pójść do pokoju?“

„Nie, nie; niech się pani o mnie nie obawia, ja mam często takie napady słabości, to przejdzie.“

Marylka tymczasem, wsparta na kolanach pani Jakóbowej, wpatrywała się w nieznajomą, podziwiając to piękną jej czarną jedwabną suknię, to maleńki, wiszący u pasa zegarek, ale najbardziej patrzała na te duże, łzawe oczy, których wzrok smutny na niej spoczywał.

Po chwili rzekła półgłosem nieznajoma:

„Szczęśliwa z pani matka! takie mieć skarby przy sobie!

Pani Jakóbowa odpowiedzieć na to nie śmiała, ale chcąc Marylkę oddalić, kazała jej pójść do ogrodu i nazbierać fiołków dla gościa.

Gdy dziecina na skręcie ścieżki zniknęła, dość długie nastąpiło milczenie. Nieznajoma co chwilę chusteczką łzy ocierała; pani Jakóbowa z całą właściwą sobie dobrocią, byłaby rada ją czem rozerwać, lub kilkoma słowami współczucia pocieszyć, lecz niewiedząc, jakie jej dolegało zmartwienie, obawiała się w samą ranę serca ją urazić.

Po chwili obca pani drżącym rzekła głosem:

„Niech pani dobrze tej dzieciny pilnuje. O nieszczęście w życiu tak łatwo, ale nie łatwo o pociechę, bo na stratę dziecka niema na świecie pociechy.“

„Wiem ja o tem, odrzekła pani Jakóbowa, bo mi Bóg zabrał dziecinę jedną najdroższą! i to mówiąc, łzy jej w oczach stanęły na wspomnienie „Gwiazdeczki.“

jeszcze arcybiskupów, noszących zawsze tytuł Prymasów polskiego kościoła. Dwóch pomiędzy niemi, ks. Marcin Dunin i ks. Mieczysław Ledóchowski, przez rząd pruski było więzionych za sprawę kościoła świętego, pierwszy w fortecy Kołobrzega, drugi w Ostrowie, gdzie go Ojciec Święty Kardynalską odznaczył godnością i purpurą. Obecnie niema chwilowo arcybiskupa gnieźnieńskiego, po śmierci ośmdziesiątego z rzędu prymasa i wierni poczęli gorące wznosić w niebo modły, ażeby następcą Śgo Wojciecha mógł zostać wkrótce jak najgodniejszy tego wysokiego stanowiska kapłan polski.

Święty Wojciech był czwartym z kolei biskupem zasiadającym na gnieźnieńskiej stolicy. Przybył on do nas z Czech za panowania Bolesława Chrobrego, jednego z największych królów polskich. Pałający gorliwością apostoł, niedługo się w Gnieźnie zatrzymał, spiesząc ku innym plemionom, które jeszcze prawdziwego nie znały Boga. W jednej z takich apostolskich wędrówek, od pogańskich Prusaków zamordowanym srodze został. Imię świętego biskupa znaczy *Woj*owników po*ciecha*. Ułożył on wspaniałą pieśń na cześć Matki Boskiej, poczynającą się od słów:

Boga rodzico dziewico
Bogiem sławiona Maryo...

Polacy śpiewali ją zawsze przed bitwą, teraz zaś kto jeszcze chce usłyszeć starą pieśń Śgo Wojciecha, niech pojedzie do Gniezna, gdzie ją codziennie przy grobie świętego patrona kapłani śpiewają chórem.

Jakim sposobem krwawe szczątki męczennika wróciły do Polski z pruskiej krainy, uczy nas historya. Bolesław Chrobry bardzo się zasmucił wieścią o zgonie wielkiego swego przyjaciela i spowiednika. Dał więc znać Prusakom, że tyle im zapłaci złota ile ciało Świętego zaważy. Przystali na to chciwi poganie, ale tymczasem cóż się stało? oto z woli Boga, zwłoki męczennika okazały się tak lekkiemi, że nic zgoła nie ważyły. Skarbów swoich użył tedy Bolesław na zgotowanie Świętemu wspaniałego w Gnieźnie grobowca. Wnet relikwie Śgo Wojciecha zasłynęły dziwnemi cudami. Zaczęły się liczne a trwające po dziś dzień do Gniezna pielgrzymki. Między innemi przybył tu Otto cesarz niemiecki, którego Bolesław Chrobry z nadzwyczajnym przyjmował przepychem. Że zaś cesarz jako pielgrzym, ślubował iść boso do grobu Śgo Wojciecha, całą tę część drogi król polski wysłać rozkazał suknem różnobarwnem, stoły zaś codziennie zastawiano złotemi i srebrnemi naczyniami, które szły następnie do komory cesarskiej, jako podarunek Bolesławowy i dowód jego dostatków i zamożności. Cesarz zdumiony wspaniałością przyjęcia, zdjął wtedy z własnej głowy koronę, aby ją włożyć na głowę swego sąsiada i sprzymierzeńca, Bolesława Chrobrego.

Świetne to bywały czasy dla Gniezna, ale zbyt szybko przeminęły. Stolicę królestwa przeniesiono niebawem do Krakowa, a tymczasem coraz to nowe klęski spadały na Gniezno i jego katedrę. Nieprzyjaciele domyślali się wielkich skarbów złożonych u grobu Śgo Wojciecha, zaczem wielokrotnie napadali na kościół, miasto niszcząc i rabując co się dało. Częste też pożary nawiedzały Gniezno, i ogień pochłonął niejednę cenną i kosztowną pamiątkę dawnych wieków. Zostało jednak dosyć zabytków przeszłości, aby nam przypo-

---

„Ale Bóg pani przecież pociechę zostawił, skoro jest tu w domu czworo dzieci; a u nas.. u nas... w domu pustki!...

Ciche łkanie przerwało te słowa.

Pani Jakóbowa do głębi duszy rozrzewniona, objęła obiema rękami wątłą postać młodej kobiety, i po macierzyńsku przytuliła ją do siebie, nic nie mówiąc.

Milczenie potrwało parę minut, poczem nieznajoma wskazując drżącą ręką na uganiającą o kilkadziesiąt kroków Marylkę, rzekła pół głosem:

„Moja Jadwinia tak wyglądać musi!..“

„Więc córeczka pani żyje?“ ze zdziwieniem zapytała pani Jakóbowa.

„Alboż ja wiem czy moja Jadwinia żyje? odrzekła nieznajoma zakrywając rękami twarz łzami zalaną. Może żyje... a może ją też tam ci źli ludzie zamęczyli...“

Z pewnym niepokojem spojrzała pani Jakóbowa na tę biedną, stroskaną matkę i pomyślała sobie w duszy, że wskutek nieszczęścia musiało jej się trochę w głowie pomieszać; chcąc ją rozerwać, zapytała jej się, czy prócz Jadwini nie dał jej Pan Bóg innych jeszcze dzieci.

„Nie dał, niestety! Jadwinia była naszą jedynaczką, piękną, dobrą, zdrową dzieciną... O Boże mój! Boże zlituj się nademną! i to mówiąc, ręce załamywała, niech ja choć wiem, że żyje i że zdrowa!“

„Ale cóż się Jadwini stało? zapytała pani Jakóbowa.“

Nieznajoma na chwilkę zamilkła, jakby nowych nabierając sił, by całą okropną rzeczywistość wypowiedzieć, potem zwolna, półgłosem szepnęła:

„Wykradli nam ją cyganie!“

(C. d. n.)

minać, czem było Gniezno za lat minionych. Dziś kolej żelazna wiodąca z Poznania do Torunia przecina powiat gnieźnieński i żyzne pola, które zastąpiły dawne Lechowe bory.

Wielkopolska jest przeważnie płaskim krajem, nie tak malowniczym jak Galicya, gdzie nie brak pagórków, podnoszących się stopniowo aż na wyżyny Tatr i Karpat polskich. Tam przeciwnie, równina nieprzejrzana ciągnie się szeroko i daleko, urozmaicona jedynie starannem obsadzeniem drzewami dróg i gościńców. Wioski gęsto rozsiane, Boże męki nad drogami, drewniane lub murowane kościoły, chaty strzechą pokryte, zagony malowane zbożem rozmaitem, wszystko to wygląda tak swojsko, tak rodzinnie, że choćbyś nie wiedział gdzie jesteś, odgadłbyś wnet żeś w Polsce, i zdumiałyby cię tylko dziwaczne nazwy miejscowości, które konduktor chrapliwym głosem na każdej stacyi po niemiecku wygłasza. Trzeba nam pamiętać, iż potomkowie onych Prusaków co Śgo Wojciecha zamordowali, onych Krzyżaków co gnieźnieńską w 1331 roku spalili świątynię, gwałtem zapragnęli dziś zetrzeć i zatrzeć całą przeszłość polską, i próbują wyrwać ztąd z korzeniem wszystko co polskie, co nasze. Książe Bismark głównym był onej sprawy podżegaczem. Słyszeliście zapewno jak on to prześladował wiarę i kościół święty, jak więził księży i wypędzał zakonników, jak wydalił



Widok Gniezna.

z Poznańskiego 40,000 niewinnych Polaków, jak rozkazał wykupywać ziemię polską, aby na niej niemieckich osadzać kolonistów. Nie dość na tem: gorliwi jego zausznicy, zaczęli na gwałt zmieniać odwieczne nazwy miejscowe. Żadna z nich prawie nie uszła zniemczeniu, i dziś trudno się rozpoznać w owem zamięszaniu, kiedy jedni używają dawnych nazwisk, drudzy posługują się nowemi, a nieraz jeszcze świeże, zniemczone miana napowrót polszczeją. I tak np. właściciel Pojezierza nad Gopłem przechrzcił dowolnie swą posiadłość z niemiecka: *Amsee*. Nie minęło parę miesięcy aż tu cały lud okoliczny rzeczoną miejscowość nie nazywał już inaczej jak tylko: *Jamżą*. Jedwabno przezwano po niemiecku *Seide*, dziś już niema ani Jedwabna ani Seide, ustaliło się jedynie miano *Zajdy*. Bardzo to jednak przykre i smutne, owe ciągle odmiany, kiedy stare mapy nas uczą, że już za Bolesławów nasze wsie i miasteczka jedne nosiły miana, utrwalone przez długie wieki na to, aby je dziś Prusak dowolnie zmieniał i poniewierał.

I w drodze ku Gnieznu, pobrzmiewają same obce dźwięki i nazwania. Co stacya inną ci konduktor stawia zagadkę: zkąd się pod Poznaniem mógł wziąść Weissenburg, — oto na pamiątkę pierwszego zwycięztwa Prus Francyą w czasie ostatniej wojny? W Kobielnitz jeszcze się domyślisz polskiej Kobielnicy, ale jakże tu odgadnąć że *Pudewitz* ma oznaczać Pobiedziska? Nareszcie tor kolejowy zakręca się, równina się podnosi, faluje rzadkiemi w tych stronach pagórkami, i oto w oddali rysują się poważnie wysokie wieże katedry świętego Wojciecha. Pociąg się zatrzymuje, konduktor woła: *Gnesen*, bo tak dziś starożytne Gniezno nazywać

przykazano. Wysypują się szybko podróżni i pielgrzymi, w różne spiesząc strony. Nam pilno obejrzeć pamiątki gnieźnieńskie. Zdążamy tedy ku katedrze, która góruje nad całem miastem, i jedynie dziś świadczy o dawnej jego wielkości i znaczeniu. Nikt bowiem inaczej nie odgadlby, że to dawna Polski stolica, ta licha mieścina, w części przez niemców i żydów zamieszkała, o niepozornych kamienicach i brudnych uliczkach. Dopiero w obec świątyni Wojciechowej, odnaleść można całą świetną i świętą przeszłość naszej ojczyzny. Wspaniałaż bo to budowa, z daleka widzialna, w malowniczem położeniu, wśród trzech jezior otaczających Gniezno, w którychto niegdyś Mieczysław I-szy topił pogańskie bałwany, aby prawdziwego uznać i uczcić Boga. Miasto na kilku rozsypane pagórkach, zda się cisnąć do podnóża swej katedry; wszystkie różnokształtne domy i domki niby klęczą dokoła pierwszego przybytku wiary chrześciańskiej w Polsce. *(C. d. n.).*

Wiadomości polityczne.

Ziemie polskie.

Posłowie polscy do Rady państwa zebrali się już w Wiedniu przed kilku dniami. Prezesem Koła polskiego został po raz drugi wybrany poseł Apolinary Jaworski. Po wybraniu prezesa zastanawiało się Koło jakie ma zająć stanowisko względem rządu i stronnictw znajdujących się w Radzie państwa. Tymczasowo uchwalono: po pierwsze, aby Koło wiernie stojąc przy samorządzie krajowym i obronie narodowych i ekonomicznych praw kraju, zajęło na razie stanowisko tak zwanej „polityki wolnej ręki,“ to znaczy, aby z żadnem stronnictwem ściśle się nie wiązało i w każdym wypadku tak postępowało i głosowało jak będzie najlepiej dla dobra kraju; po drugie uchwalono: ażeby w rozmaitych pojedyńczych sprawach Koło porozumiewało się wedle potrzeby z innemi stronnictwami Rady państwa. Dawniej Koło polskie łączyło się z klubem Hohenwartha przez wspólny tak zwany „komitet wykonawczy,“ ponieważ jednak obecnie koło polskie w pewnych sprawach będzie może iść zgodnie ze stronnictwem lewicy, przeto nie ma być osobnego komitetu wykonawczego, ale prezes Koła w jego imieniu będzie się porozumiewal tak z klubem hr. Hohenwartha jak i ze stronnictwem lewicy.

Posłowie ruscy zjechali się we Lwowie i omówiwszy swój przyszły stosunek do rządu i stronnictw w Radzie państwa, postanowili utworzyć własny klub, którego członkowie mają zawsze głosować solidarnie.

Dzienniki niemieckie donoszą, że arcybiskupem gnieźnieńsko-poznańskim zostanie mianowany ks. dr. Edward Likowski. Jeżeliby ta wiadomość okazała się prawdą, należałoby się z niej bardzo cieszyć, bo ks. Likowski, dziś biskup-sufragan i administrator dyecezyi poznańskiej, posiada wszelkie przymioty, aby zasiąść na stolicy dawnych prymasów Polski. Jestto przytem kapłan wysoce uczony, którego dzieła o historyi ruskiego unickiego Kościoła w Polsce są bardzo cenione przez ludzi poświęcających się badaniu dziejów naszego narodu.

Gazety górnoszlązkie ostrzegają w mniej lub więcej wyraźny sposób lud przed nową „polską“ gazetą, która w Raciborzu powstała, aby walczyć przeciw innym polskim gazetom na Górnym Szląsku. Widzieliśmy już i czytaliśmy tę nową gazetę; dowiedzieliśmy się także, że mają ją wydawać Niemcy raciborscy; sama zresztą bardzo licha polszczyzna w tej gazecie na to wskazuje. To dziwna rzecz — pomyśli sobie niejeden z naszych czytelników — że Niemcy polską gazetę będą wydawali. Dziwna rzecz, ale i zupełnie zrozumiała. Germanizatorom pruskim nie podoba się, że lud polski na Górnym Szlązku się budzi i radziby go na powrót uśpić za pomocą polskiej gazety, redagowanej w duchu niemieckim.

Jestto wielki tryumf dla ludu górnoszląskiego, gdyż widać ztąd, że już teraz Niemcy zaczynają się z nim liczyć, podczas gdy dawniej traktowali lud górnoszląski niby kopciuszka. Nowej gazety i jej sposobu germanizowania nie potrzebujemy się wcale obawiać, boć lud nasz czytający umie odróżnić prawdziwych swoich przyjaciół od fałszywych.

Poruszamy tę sprawę tylko dlatego, aby ludowi polskiemu na Górnym Szlązku oznajmić, że w obec Niemców zaczyna on nabierać znaczenia, jakiego dawniej nie miał. Niemcy powiadają sobie: „To jednak twardy lud,“ a nie mogąc tego ludu skruszyć żadnemi sposobami, jakich dotąd używali, chwytają się teraz, niby tonący brzytwy, gazety polskiej w niemieckim duchu redagowanej, aby takim środkiem lud polski na niemiecką stronę dostać.

Austrya. Onegdaj, to jest 9 kwietnia rozpoczęła się sesya Rady państwa. Prezydentem Izby poselskiej wybrany został ponownie zasłużony nasz poseł dr. Franciszek Smolka. Pierwszym wiceprezydentem ma być p. Chlumetzky, na drugiego wiceprezydenta jeszcze się ostatecznie nie zgodzono.

Posłowie z wielkiej własności czeskiej postanowili przyłączyć się do klubu hr. Hohenwartha, zastrzegając sobie, że w sprawach Czech dotyczących nie będą się wiązali uchwałami tego klubu. Wogóle zdaje się, iż wszystkie stronnictwa prawicy połączą się się z klubem hr. Hohenwartha.

Jednocześnie z rozpoczęciem sesyi Izby poselskiej odbyło się pierwsze posiedzenie Izby panów. Izba ta składa się z 230 członków, a mianowicie: z 21 arcyksiążąt, 79 członków prawicy, 60 lewicy, 36 środ-

ka, czyli tak zwanego centrum, 26 Polaków, 6 Czechów i z 2 członków nienależących do żadnego stronnictwa, czyli tak zwanych „dzikich.“

Najj. Pan mianował kilkunastu nowych dożywotnich członków Izby panów, a między innymi hr. Stanisława Badeniego i profesora Fryderyka Zolla, obu posłów na sejm krajowy. Znani są oni ze zasług dla kraju położonych i ze szczególnej opieki, jaką otaczają lud wiejski. Prof. dr. Zoll jest referentem grona posłów włościańskich w naszym sejmie.

Niemcy. Cesarz Wilhelm naradzał się z głównym swym ministrem, Kaprywim co do umowy handlowej i celnej z Austryą i Węgrami. Cesarz twierdził, że umowa ta jest koniecznie potrzebna, a opór stawiany przeciw niej w Niemczech przez właścicieli majątków, podżeganych ze strony Bismarka, należy przełamać. Następnie posłano pełnomocnikom niemieckim Austryi rozporządzenie, aby zgodzili się na podane przez Austryę i Węgry warunki, o które dotąd się spierano. Cło od zboża ma być zniżone z 5 marek na $3^1/_2$ mar. Tym sposobem bardzo już prędko zapewne zostanie podpisana umowa, dogodna bardzo dla krajów austryackich, a szkodliwa dla innych, które zboża i inne wytwory gospodarskie do Niemiec wysyłają.

Rząd pruski, a szczególnie cesarz Wilhelm, myślą o zwróceniu potomkom króla hanowerskiego wielkiego majątku, kilkunastu milionów talarów, które były zabrane w roku 1866, gdy Prusy Hanower opanowały. Poprzednio Bismark i słuchać nie chciał o zwrocie tych kapitałów, rozporządzał niemi jak mu się podobało, używał ich na opłacanie swoich szpiegów, na datki lub pożyczki dla swych przyjaciół i pomocników, i na inne podobne sprawy. Teraz to się dopiero wykrywa, choć rachunki i dowody zostały popalone. To też cesarz Wilhelm tembardziej radby z tem już skończyć, gotów jest oddać majątek, a potomkom byłego króla zapewnić panowanie w księstwie Brunszwickiem, wymaga jednak, aby oni się zrzekli raz na zawsze swych praw do królestwa hanowerskiego, które stało się od lat 25-ciu częścią Prus. (Hanower i Brunszwik to są miasta i kraje w zachodniej stronie Niemiec położone.)

Bułgarya. Pomimo licznych aresztowań nie wykryto morderców Bielczowa. Sprawdzono tylko, że rewolwer, z którego strzelano, pochodzi z fabryki rosyjskiej i że poseł rosyjski w Rumunii wysłał go przed paru miesiącami do Konstantynopola.

Rady gospodarskie.

O uprawie marchwi pastewnej.

Do bardzo pożytecznych a potrzebujących jaknajwcześniejszego zasiewu roślin gospodarskich należy marchew pastewna, która zasługuje na większe upowszechnienie w gospodarstwach mniejszych, gdyż przydatną jest nietylko do pożywienia ludzkiego, ale przedewszystkiem służyć może jako dobra pasza jesienna i zimowa dla wszelkiego rodzaju zwierząt domowych, począwszy od krowy i konia, a skończywszy na trzodzie chlewnej i drobiu. Krowy ją zjadają chętniej aniżeli buraki i dają przy tem więcej mleka; konie odżywiają się na tej paszy dobrze, a lubo nie daje ona im siły, jest jednak bardzo zdrową i może zastąpić częściowo owies w czasie zimowym, gdy roboty nie są zbyt ciężkie. Dla trzody chlewnej może zastąpić kartofle, a wszelki drób zjada ją chętnie w tym czasie, w którym już niema innej karmy soczystej. Daje się zwykle w stanie surowym, posiekana i zmieszana dla bydła i koni z sieczką ze słomy. Uprawa marchwi wymaga wprawdzie większego starania i nieco więcej roboty ręcznej, aniżeli innych roślin okopowych, plon jednak bywa o czwartą część, a często o połowę większy w stosunku do zbioru buraków. Nać jej jest zdrowszą i pożywniejszą aniżeli liście buraków.

Mamy trzy główne odmiany marchwi pastewnej, to jest: czerwoną, żółtą i białą, z których ta ostatnia nadaje się najlepiej jako pasza dla bydła, gdyż jest najplenniejszą i najmniej wymagającą pod względem dobroci gruntu. Odmiana czerwona jest najsłodszą, ale wymaga lepszej ziemi i daje mniejszy zbiór z tej samej przestrzeni, gdyż jest cieńszą i krótszą od białej.

Marchew lubi ziemię lekką, głęboką, żyzną i średnio suchą, rodzi się jednak dobrze na ziemi lżejszej, jeżeli jest należycie uprawioną, oraz na dobrze zasilonych, nie zbyt suchych piaskach. Można ją siać po wszelkich roślinach gospodarskich, byle rola miała dostateczną siłę pożywną i zoraną była kilkakrotnie przed zimą. Silny nawóz, dany w jesieni, jest prawie zawsze potrzebny.

Nasienie marchwi potrzebuje kilka tygodni do skiełkowania, dlatego musi być siane bardzo wcześnie, by korzystało z wilgoci, która nagromadziła się w roli w ciągu zimy. Moczenie nasienia w wodzie lub rozpuszczonej gnojówce można tylko wtedy doradzać, gdy jesteśmy pewni, że wilgoć w ziemi pozostanie przez parę tygodni; w przeciwnym razie ziemia sucha odbierze wilgoć z nasienia i zniszczy kiełki jego w zarodzie. Zasiew odbywa się rzędami odległemi od siebie na 16 do 18 cali, które o ile możności przygotowuje się już w jesieni, ażeby na wiosnę nie czekać zbyt długo i nie wysuszać ziemi ponowną orką. Na roli płytszej i nie dosyć przepuszczalnej urządza się rzędy w grobelki za pomocą płużka, którym ogartujemy kartofle, ażeby tym sposobem zgarnąć pod marchew więcej ziemi rodzajnej i zabezpieczyć ją od zbytecznej wilgoci. Ponieważ nasienie trzyma się razem włoskami swemi, trzeba je przetrzeć dobrze rękami, a dla lep-

szego rozdzielenia w rzędach przewiercać z suchym piaskiem i posypywać dosyć gęsto, przykrywając płyciutko ziemią miałką. Czystego nasienia przeznacza się na mórg około 3 kilogramów.

Niektórzy zasiewają marchew w późnej już jesieni przed nastaniem mrozów, a jeżeli nie skiełkuje ona aż dopiero na wiosnę, wschodzi tedy wcześnie i ma więcej czasu do należytego rozwinięcia się; gdyby zaś powschodziła w jesieni, to młode roślinki zmarzną i potrzeba ponowić zasiew na wiosnę. Taki zasiew jesienny ma tę jednak niekorzyść, iż wiele marchwi idzie w słup, to jest wydaje nasienie, przyczem głąb staje się drzewiastym i nie jest już przydatnym na paszę, nasienie zaś jest zbyt nikłe i bezużyteczne.

Plewienie marchwi musi być wykonane bardzo wcześnie i powtórzone starannie parę razy, ażeby chwasty nie przytłumiły jej wzrostu, poczem należy posuwać roślinki w odległości 8-miu cali, pozostawiając tylko po jednej w każdem miejscu. Nadsadzać marchwi nie można, gdyż sadzonki wyrastają prawie zawsze w słup. Nareszcie okopać należy rzędy plewnikiem konnym lub kopaczkami ręcznemi, poczem już marchew, rosnąca z początku bardzo powoli, rozwija się szybko i ocienia ziemię bujną swą nacią.

Zbiór marchwi następuje zwykle z końcem października lub w pierwszych dniach listopada. Jeżeli ziemia jest lekką, to nie trzeba obcinać naci przed wydobyciem marchwi, gdyż ocienienie roli jest potrzebne, a dobywanie głąbi odbywa się łatwiej, ciągnąc za nać i chwytając ją u samego spodu. Gdy ziemia jest cięższą, wtedy należy obciąć nać przed samym zbiorem marchwi, a następnie podkopać z jednej strony rzędy kopaczką ręczną, wystrzegając się kaleczenia marchwi, poczem można już wydobywać ją ręką, biorąc jednakże o ile możności głęboko, by zapobiedz przerwaniu grubszych korzeni.

Największą trudność przedstawia przechowanie marchwi, ponieważ gnije ona bardzo łatwo, szczególnie gdy wydobytą jest w czasie słotnym lub złożoną w większej ilości. W piwnicy czy w lochu nie wytrzyma w stanie zupełnie zdrowym dłużej jak do stycznia, w kopcach przechowuje się lepiej, ale wtedy tylko, jeżeli nie są one zbyt wielkie i nie zostaną okryte w zupełności zbyt wcześnie. Ażeby więc nie popełnić błędu, któryby mógł narazić cały zbiór nasz na zniszczenie, należy postąpić jak następuje:

Marchew oczyszczona w polu z naci (przez oberwanie jej rękami lub obcięcie przed wykopaniem) i otrzęsiona z ziemi, zwozi się następnie w miejsce dogodne i układa w kopce okrągłe, stożkowate, zawierające w sobie nie więcej jak 20 do 25 korcy. Dla lepszego pokrycia tych kopców i uzyskania gładkiej powierzchni układa się głąbie cieńszemi końcami do środka, a główkami na zewnątrz, a to na miejscu wystruganem z trawy i w około pala wbitego na środku. Po ułożeniu kopca nakrywa się go słomą równą ze wszystkich stron w grubości kilku cali, a w razie obawy słoty obrzuca miałką ziemią, jednak nie grubiej 2 cali, pozostawiając wierzch wokoło pala niezasypany, lecz przykryty jedynie snopkiem słomianym, zwanym czapką lub chachołem. W dzień pogodny należy zdejmować ten snopek z rana, a wkładać na noc, gdy jest zbyt chłodną. Tak pozostawia się kopce aż do nastania silniejszych przymrozków, poczem obkłada się je ziemią na łokieć grubo, przykrywając jednocześnie i końce snopka wierzchniego.

Gdy zapas złożony w piwnicy na pierwsze potrzeby skończy się w grudniu, odkrywa się kopce w miarę potrzeby po jednemu i znosi do piwnicy w dniu cieplejszym, lub też wydobywa marchew przez dziurę zrobioną w boku kopca, którą zatyka się szczelnie snopkiem związanym ze słomy miętej i przykrywa nawozem mierzwiastym.

Tym sposobem możemy przechować marchew aż do wiosny, a choćby nadpsuła się nieco, to ogólny z niej pożytek jest tak wielki, że kto raz go doznał, nie porzuci już jej uprawy.

A. Lippoman.

NOWINY.

— Krakowska Kasa Oszczędności przeznaczyła 28.000 złr. na odnowienie czyli tak zwaną restauracyą kaplicy Zygmuntowskiej na Wawelu. Wiadomą jest rzeczą, że Jego Eminencya ks. Kardynał Dunajewski, Książę-Biskup krakowski, zajmuje się gorliwie zbieraniem funduszów na odnowienie całej świątyni na Wawelu, tak drogiej dla każdego Polaka. W tej świątyni odbywały się koronacye królów polskich, a w grobach jej spoczywają królowie, biskupi krakowscy, wielki bohater narodu Kościuszko i największy poeta polski Adam Mickiewicz. Katedra na Wawelu jest najpiękniejszym domem Bożym w całej Polsce: posiada wspaniałe pomniki, bogaty skarbiec pełen pamiątek narodowych, — i prześliczne kaplice, jakich mało nietylko w Polsce ale i na całym świecie. A pomiędzy temi kaplicami najpiękniejszą jest kaplica pod wezwaniem Wniebowzięcia N. M. Panny, czyli tak zwana Zygmuntowska, bo ją król Zygmunt I swoim kosztem wybudował. Znajduje się w niej śliczny ołtarz srebrny grubo pozłacany z tajemnicami cudownemi z życia N. Maryi Panny. Naprzeciw ołtarza wznoszą się dwa pomniki z czerwonego marmuru przedstawiające króla Zygmunta I i jego syna króla Zygmunta Augusta, który to do skutku doprowadził Unię Polski z Litwą. Naprzeciw wejścia jest pomnik marmurowy królowej Anny Jagiellonki, żony wielkiego króla Stefana Batorego. Z tyłu za pomnikiem stoi tron królewski, w którym monarchowie polscy słuchali nabożeństwa. Cała kaplica jest ślicznie ozdobioną, a kryje ją dach pozłacany. Ale w ostatnich latach dostrzeżono, że psuje się ze starości tak dach jak i wiele ozdób i części pomników. Dobrze więc zrobiła krakow-

ska Kasa Oszczędności, że daje pieniądze na odnowienie tej ślicznej i tak drogiej naszym sercom kaplicy.

— Najjaśniejszy Pan zatwierdził ustawę o krajowych opłatach konsumcyjnych, uchwaloną przez ostatni Sejm krajowy.

— Wydział krajowy udzielił subwencyi 3000 złr. na budowę dróg gminnych w Zakopanem, 2000 złr. na drogę z Nowego Targu do Zakopanego i 4000 złr. na budowę drogi z Zakopanego do Jaszczurówki. Jest to bardzo ważne dla tego ślicznego zakątka kraju naszego, do którego co roku zjeżdżają się ludzie z całej Polski, ażeby nabyć zdrowia, którego daje czyste górskie powietrze i napatrzeć się na te wszystkie piękności i cuda natury, jakiemi Pan Bóg Polaków obdarzył dając im prześliczne góry tatrzańskie.

Prócz tego przeznaczył Wydział krajowy 3000 złr. na drogę z Tylicza do Krynicy, gdzie jeżdżą chorzy na piersi, 2000 złr. na budowę drogi gminnej nadwiślańskiej około Dąbrowy i 7000 złr. na budowę drogi powiatowej z Białej do Jawiszowic.

— Podobno od 1-go lipca rząd obejmie na siebie kolej Karola Ludwika, będącą główną koleją galicyjską, idącą przez Kraków i Lwów do granicy rosyjskiej.

Rozmaitości.

Węgry. Pisaliśmy już raz o tem, że naród węgierski dopiero 1000 lat temu przybył z Azyi do Europy. — Mówimy — dopiero, bo i inne narody, siedzące w Europie, poprzychodziły pono też z Azyi do Europy, ale to już jest tak dawno temu, że pamięć o tem zaginęła, i tylko o niektórych narodach mamy dokładniejsze wiadomości, kiedy już byli w naszej części świata ludzie uczeni, co wszelkie ważniejsze wypadki do ksiąg zapisywali. Otóż ten naród węgierski wkrótce obchodzić będzie jubileusz swego pojawienia się w Europie, a ciekawy jest sposób, w jaki doszli Węgrzy do dokładniejszego oznaczenia, na jaki dzień właśnie ten jubileusz przypada. Jeden z ich uczonych mężów znalazł w starych księgach wzmiankę, że podczas najazdu Bułgarów na państwo wschodnie zaszło takie zaćmienie słońca, że o godzinie 6 po południu wszystkie gwiazdy widziano na niebie. Ponieważ wiedziano, że ukazanie się Węgrów w Europie nastąpiło zaraz po owem najściu Bułgarów (narodu na ów czas potężnego) więc zaczęto badać wszystkie zaćmienia słońca, jakie się zdarzyły między rokiem 887 a 896 i przekonano się, że zupełne zaćmienie słońca zaszło wtedy dnia 8 Sierpnia 891 r. Ów zatem jubileusz narodowy węgierski będzie prawdopodobnie obchodzony w r. 1892.

Broda. W dawnych wiekach uważano zapuszczanie brody za znak powagi; kapłani żydowscy nie mogli ani golić ani strzydz brody. I w Polsce zwyczaj noszenia brody trwał długo; ale już Kazimierz Odnowiciel przed 800 laty przystrzygał włosy. Kazimierz Wielki przed 500 laty nosił śliczną, długą, trefioną brodę. Zygmunt August przed 300 laty był ostatnim królem polskim, który nosił długą brodę, bo po nim Stefan Batory już ją przycinał, a Zygmunt III. przed 250 laty zaczął podgalać brodę i wąsy i odtąd to nazwano zwyczajem szwedzkim, bo był królem także i szwedzkim. Syn jego, Jan Kazimierz, podgalał za zwyczajem ojca również brodę i wąsy. Jan III. Sobieski, który umarł 1696 roku, miał śliczny duży wąs, ale goloną brodę. Obydwaj Augusty Sasi, którzy panowali od roku 1696 do 1763, wprowadzili zwyczaj francuzki do Polski i golili brodę i wąsy. Ten zwyczaj bardzo długo u nas istniał i poniekąd jeszcze istnieje; ale już bardzo wielu Polaków nosi brodę długą i wąs i przyznać trzeba, że broda i wąs są ozdobą twarzy męzkiej. Dawniej biskupi i księża nosili długie brody, ale dzisiaj już ich nosić kapłanom, ani biskupom nie wolno.

Zawstydzone samochwalstwo. Jak samochwalcze udawanie nieraz człowieka na wstyd narazi, mamy przykład w zdarzeniu, które opowiada ks. biskup kijowski, Józef Wereszczyński, w książce swej drukowanej przed trzystu laty, a gromiącej wykroczenia „moczygębów i wydmikuflów świata tego.“

Był pewien ziemianinek, który do miasta na każdy targ chodził w kurpiach, a dopiero na przedmieście przyszedlszy, w kąt gdzie wlazł, obuł buty i ostrogi (szpory) przypiął a miecz przy boku przypasał. Tak ubrany nie minął żadnego domu szynkowego, a wszędzie pytał o dobre piwo, polując na takich, coby go na swój koszt poczęstowali. Gdy kto pytał o konia, powiadał, że go na przedmieściu zostawił.

Weiskanie się samemu do kompanii w końcu ludziom się naprzykrzyło, a jeszcze bardziej to, że jegomość ów, podpiwszy sobie, niejednokrotnie dziwy po mieście broił. Co widząc, urzędnicy zamkowi, przewąchawszy, co to był za ptaszek, zmówili się nań i oskarżyli go, jakoby miał, podpiwszy sobie, dziecko na przedmieściu koniem roztrącić.

Pozwano go do sądu. Ziemianin powiada, że kto inny musiał to uczynić. Gdy na niego coraz bardziej nastawano, ze wstydem przyznał się, że już od lat kilku na koniu nie jeździł — gdyż istotnie konia swego dawno był przepił. Chciał nawet wszystkich sąsiadów ze wsi wzywać na świadków, że od dwunastu lat żaden go na koniu nie widział.

Rozumie się, że odstąpiono od oskarżenia, ale ludzie naśmiali się, patrząc na nieboraka, który tylko piechotą chodził, jak z pokorną miną stał przed sądem przy wielkich ostrogach tureckich.

Fraszki.

— Słuchaj, Mosiek, czy masz sumienie?

— Jak ja mogę nie mieć sumienia?

— A jednak zdzierasz 10 od sta na miesiąc.

— No, to przecież nie idzie do sumienia, tylko do kieszeni.

— Niemowa siedział przy drodze i żebrał. Ktoś z przechodzących zapytał go, co mu jest? — Ach! odpowiedział żebrak — jestem niemowa.

— Pewien niemądry człowiek chciał dom swój sprzedać. W tym celu wyłamał kawałek muru i pokazywał go ludziom na próbę.

— Powiedz mi mój kochany — zapytał pastucha spragniony myśliwiec dochodzący do dworu — czy dostanie tu mleka od krowy? — E! gdzie tam proszę pana —

odpowiedział pastuch — jest ci mleko, ale jeno prosto od pachciarza.

— Pewien jegomość targował czapkę sobolową u czapnika i gdy usłyszał, że kosztuje 12 reńskich, zawołał: Ho ho! jabym za takie pieniądze tęgiego wieprza mógł kupić. — To nośże pan sobie wieprza na głowie — odpowiedział czapnik.

— Na jednym drogowskazie był taki napis: Ta ścieżka prowadzi do wsi B.; kto zaś nie umie czytać, lepiej zrobi, jak się traktu będzie pilnował.

— Pewna wieśniaczka pędziła przed sobą kilku osłów! Gromada chłopców, która ją spotkała, poczęła wołać do niej: „Dzień dobry, matko osłów!“ — Pięknie dziękuję, moje dzieci“, odpowiedziała im poczciwa kobiecina.

— Pewien jegomość pisał do swego przyjaciela: Posyłam ci tu surdut, a list znajdziesz w lewej jego kieszeni.

Zagadka.

Pierwsze, drugie u płotu stanowią część główną!
Trzecie, czwarte po śniegu mkną lekko i równo.
Całością matka posłuży się w chwili,
Gdy senne dziecię żałośnie zakwili.

Znaczenie zagadki w Nrze 13-ym: *Turkot.*

Sprostowanie.

W numerze 14-ym *Krakusa* w wierszu 19-ym od dołu opuszczono wyraz *nie*, zamiast więc, jak wydrukowano: Pod względem gatunku ziemi owies *jest wybredny*, powinno być: *nie jest wybrednym.*

Nadesłane.

Gusztyn. Wielmożny Pan Tytus Smolnicki, właściciel dóbr, zaprenumerował tutejszej szkole na cały rok *Krakusa*, za co tak imieniem własnem jako też imieniem szkoły i wszystkich tutejszych czytelników składam Łaskawemu Dobrodziejowi szczere serdeczne staropolskie „Bóg zapłać!“

Korabiowski,
nauczyciel w Gusztynie.

L. 76.

Ogłoszenie.

W krajowej niższej szkole rolniczej w **Kobiernicach** która ma na celu kształcenie przedewszystkiem **synów włościańskich** na zdolnych gospodarzy praktycznych, **rozpoczyna się rok szkolny 1891/92 z dniem 1 lipca 1891.**

Kto chce wstąpić jako uczeń zwyczajny do tej szkoły, powinien:

1. **Najdalej do 15 maja b. r.** wnieść do Dyrekcyi szkoły w Kobiernicach (poczta Kozy) podanie, z dołączeniem:
   a) metryki urodzenia udowadniającej, że kandydat ukończył 16 rok życia;
   b) świadectwa szkolnego z ukończenia szkoły ludowej z dobrym postępem;
   c) świadectwa moralności i dotychczasowego zatrudnienia wystawionego przez właściwego duszpasterza i zwierzchność gminną;
   d) świadectwa zdrowia wystawionego przez lekarza.
2. W dniu oznaczonym przez Dyrekcyę **poddać się egzaminowi wstępnemu,** z którego kierownik szkoły osądzi, czyli kandydat jest dostatecznie umysłowo rozwinięty i posiada potrzebne wykształcenie elementarne, ażeby mógł korzystać należycie z nauk w szkole rolniczej udzielanych.
3. Otrzymawszy zapewnienie przyjęcia, złożyć do rąk kierownika szkoły pisemne zobowiązanie rodziców, opiekunów lub protektorów, poręczające regularną wypłatę należytości przypadających zakładowi za utrzymanie ucznia.

Synowie ubogich rodziców, chcący otrzymać bezpłatne utrzymanie w zakładzie, winni po dopełnieniu warunków pod 1 i 2 wymienionych, wnieść osobne prośby do Wydziału krajowego na ręce Dyrekcyi;

Synowie włościan posiadających własne gospodarstwa, otrzymać mogą bezpłatne utrzymanie (pomieszkanie, wikt, pościel i pranie) **tudzież ubranie** w zakładzie, kosztem funduszu krajowego.

Każdy jednak wstępujący do zakładu, powinien być zaopatrzony w dostateczną bieliznę i dobre juchtowe buty.

Bliższych wiadomości udzieli na żądanie:

Dyrekcya krajowej niższej szkoły rolniczej w Kobiernicach.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: **Kazimierz Bartoszewicz.**

Nakład i własność „Spółki wydawniczej polskiej w Krakowie, zarejestrowanej z ograniczoną poręką“.

W drukarni „Czasu“ w Krakowie Fr. Kluczyckiego i Sp. pod zarządem Józefa Łakocińskiego.